Nr. 10. We Lwowie, Poniedziałek dnia 10. marca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Echa londyńskie.

W Marcu 1890 r.

(Stróże publicznej moralności. — Gabinet Salisburego i psy. — Akty ślubne. — Pogrzeby. — Kinofil North).

„Wierzymy w Boga, w Anglję, w humanitarność!“ — temi słowy rozpoczyna się pierwszy numer *Review of Reviews*, pisma założonego przez byłego redaktora *Pall Mall Gazette* W. T. Steada. Zdetronizowany publicysta zaciągnął się obecnie w szeregi armii zbawienia i założone przez siebie pismo oddaje na jej usługi. W bombastycznym programie rozwija ten osławiony dziennikarz plan swej przyszłej akcji i z emfazą prawdziwie komiczną kończy proklamację do narodu następującym frazesem: „Pismo nasze będzie biblją, pouczającą czytelnika o woli Boga oraz o obowiązkach wobec bliźniego“. W. T. Stead jest jak wiadomo, wybitną osobistością wśród kliki wietrzącej skandale. Szajka ta wgląda ciekawie w najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia tych osobistości, które się opłacić mogą, by z swych spostrzeżeń stwarzać senzacyjne artykuły, dające powód do licznych procesów o oszczerstwo lub rozwód. I smutno wyznać, że wśród tutejszego społeczeństwa pismo lubujące się w brudach i w skandalach, chętnych znajduje czytelników. Na stałym lądzie publicysta eksploatujący w tak obydny sposób bezmyślną ciekawość ogółu, publicysta skazany sądownie za oszczerstwo, byłby zgubionym bezpowrotnie w opinji publicznej. U nas inaczej. Podczas gdy Stead odsiadywał swą karę w więzieniu Holloway, przyjaciele jego i zwolennicy puścili w kurs broszurę z portretem męczennika, którego skronie okolili aureolą świętości.

Ponieważ na straży publicznej moralności stanęło obecnie stronnictwo radykalne, naturalnym więc rzeczy porządkiem szuka ono grzeszników w tych sferach, które urodzeniem, fortuną lub pozycją socjalną budzą w niem zawiść. Denuncjacja odprawionej służącej wystarcza w zupełności tym panom, by wprawiwszy w ruch cały aparat swej prywatnej policji zapolować na upatrzoną zdobycz. Biada nieszczęśliwemu, jeśli nie jest niewinnym jak świeżo narodzone dziecię, jeśli ma na sumieniu najdrobniejszy choćby grzeszek młodości. Stróże moralności przedstawią go jako wyrzutka społeczeństwa, uosobienie zbrodni i występku. W końcu przyparty do muru biedaczysko postanawia się bronić. Przyzywa na pomoc dwóch lub trzech adwokatów i puszcza się na drogę kosztownego procesu, byle tylko ocalić swą sławę. Nieszczęsny cóż uczynił! Całymi dniami wystawać musi przed kratkami trybunału, gdzie wywlekają na stół najbardziej błahe epizody z jego przeszłości, konfrontują go z całym legionem kucharek, praczek i służby pokojowej. I oto pokazuje się, że obwiniony powrócił pewnej nocy nieco podchmielony do domu. To znów wychodzi na jaw fakt, iż widziano go na ulicy z nieznaną nikomu kobietą, która zatem musiała używać niewątpliwie podejrzanej sławy. Dobija wreszcie obwinionego zeznanie świadka, który go widział w chwili, gdy żartując z pokojówką, uszczypnął ją w policzek... Uszczypnął! Zatem libertyn, uwodziciel. Na pal z nim! Uciśniona niewinność tryumfuje. Bóg, Anglja i humanitarność górą!

* * *

Omal, że gabinet Salisburego nie runął z powodu — psów hrabstwa Surrey i Kent. Minister rolnictwa Chaplin celem uchronienia ludności wiejskiej od wypadków wścieklizny, wpadł na koncept zaprowadzenia przymusu kagańcowego. Co? Wolny pies angielski ma nosić kaganiec? I to bez różnicy przekonań, liberał czy konserwatysta? Przenigdy! Hrabstwa Surrey i Kent były wprawdzie do tej pory gniazdem popleczników obecnego gabinetu, lecz raczej przejdą do obozu Gladstona, niżby miały usłuchać drakońskich rozporządzeń ministra. Zaśniedzieli na wsi *Squires* grożą wywołaniem straszliwej burzy w parlamencie. Nie trzeba bowiem sądzić, by w obu tych hrabstwach pies był sobie zwykłym psem, którego gdziekolwiek indziej uważa się za psa. Ma on tam coś więcej do czynienia, niż uganiać się za kotami, wysypiać się przed kominkiem, lub niszczyć grządki w ogrodzie. Tam pies nie jest pospolitym mieszańcem najrozmaitszych ras; musi być czystej krwi, wymaga długiej i mozolnej tresury. Szlachcic, czy dzierżawca nie poprzestaje na jednym psie, lecz trzyma zazwyczaj kilka sztuk, które mu nieodstępnie towarzyszą. W niedzielę jadąc przez zamożne wsie tamtejsze, widzieć można przed gospodą całe stada kundysów gryzących się zajadle, podczas gdy ich właściciele bacznie śledzą przebieg walki i zakładają się wzajemnie o jej wynik. Czyżby teraz należało sobie odmówić tej niewinnej rozrywki? Nie, na to zgodzić się nie może żadną miarą najbardziej ofiarny patrjota, zwłaszcza wobec odkryć Pasteura. Dzielny pies podobnie jak dobry wyścigowiec przynosi więcej zaszczytu swemu właścicielowi niż tytuł para. Rząd może sobie przeto żartować z Portugalii, ale przed psami hrabstwa Surrey i Kent musi uczuć winny respekt...

* * *

Prócz wielu awanturników, którzy dla rozmaitych powodów czują się bezpieczniejszymi przebywszy cieśninę kaletańską, stara Anglia

a zwłaszcza Londyn przyjmuje gościnnie czułe pary, pragnące się połączyć węzłem małżeńskim wbrew woli rodziny lub innym przeszkodom. Od czasu gdy kowalowi z Gretna-Green odjęto prawo udzielania ślubów na poczekaniu, portjerzy i ciceroni drugorzędnych zajazdów stolicy stworzyli sobie z kojarzenia małżeństw bardzo korzystny, uboczny zarobek. Do ważności małżeństwa wymagają tutejsze ustawy ślubu cywilnego, lub kościelnego — co kto woli. Proceder jest zatem następujący: Młody człowiek wraz z swą przyszłą udaje się w towarzystwie dwóch świadków do urzędu stanu cywilnego. Tu podają swe imiona i nazwiska, oraz wiek (autentyczności tych dat nikt nie konstatuje). Świadkowie prawdziwi, czy też podstawieni stwierdzają identyczność osób oraz fakt zamieszkania młodej pary w odnośnym okręgu. W przeciągu trzech dni następuje obrządek ślubny, poczem odnośny certyfikat, stwierdzający legalność zawartego związku zostaje wręczony pannie młodej — tak sobie na wszelki wypadek. Ślub kościelny może się dopełnić w którymkolwiek kościele na podstawie uzyskanego świadectwa z urzędu. Nie trudno się domyśleć, jaka rola przypada usłużnym duchom hotelowym. Oni to ofiarują młodej parze, chroniącej się przed pogonią w hotelu swe pośrednictwo. Wynajmują *pro forma* mieszkanie, sprowadzają przygotowanych świadków (po pięć do dziesięciu szylingów od sztuki) i historya skończona. Niedziw więc wobec tego, że sądy tutejsze zawalone są stosami spraw o dwużeństwo.

* * *

Z tą samą łatwością, z jaką sporządzają się certyfikaty ślubne, wystawiają u nas akty zejścia. Zwykłe doniesienie do urzędu poparte świadectwem lekarskiem, iż śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, wystarcza w zupełności. O skonstatowanie rzeczywistego nazwiska zmarłego, jego stanu, miejsca urodzenia oraz o wyśledzenie jego rodziny nikt się nie troszczy. Gdy umrze nędzarz, który nie pozostawił żadnej spuścizny, choćby najdrobniejszej, chowają go kosztem gminy i na tem koniec. Dlatego też dochodzenia spadkowe po cudzoziemcach zmarłych w Anglii są niezmiernie utrudnione i kosztowne. Najczęściej też prawi spadkobiercy, miast spodziewanego dziedzictwa, uzyskują w rezultacie znaczne straty w nakładzie na koszta procesu.

* * *

Powracamy raz jeszcze do psów. Oto niejaki North, wzbogacony na saletrze parweniusz, urządził w swej rezydencji istny paradyz dla psiego rodu. W pałacu Northa są osobne apartamenty przystrojone wspaniale, w których mieszczą się te szczęśliwe istoty. Usługują im lokaje w liberji; mają nawet domowego lekarza, który w razie najlżejszej niedyspozycji którego z czworonogów pospiesza z poradą. Kucharz przy pomocy dwóch kuchcików przyrządza codziennie dla nich na smaczniejsze frykasy. Dla dokładności zanotować należy, że kinofil North mieszka w Eltham i że dotychczas nie został wzięty przez sąd w kuratelę...

POCIESZYCIEL.

OPOWIADANIE

przez

Romualdę Baudouin de Courtenay.

Ze wszystkich drzew uniwersyteckiego parku w Dorpacie, najpiękniej chyba wyrastają klony; idą one w górę ostro a wspaniale, rzucają na wszystkie strony potężne konary, a niezliczone ich duże i łapiaste liście, stykając się z drobnemi, nieśmiałemi listkami brzozy i miękkiem liściem topoli o wyszarzałej podszewce, przygniatają je swym ciężarem i chylą ku ziemi. Klony najwięcej się pysznią jasną zielonością majową i ciemną barwą dojrzałego lata; one też, wyprzedzając inne drzewa, spieszą się oblec w złotogłów i purpurę jesieni. Oto i teraz topią one kopuły swe ze złota i czerwieni w szarem, ciężko zwisłem niebie i ciągną oczy nasze w górę, ku sobie i ku temu wrześniowemu niebu, a pod stopy nasze wciąż sypią liście i liście.

Gdzie wiatr powieje — deszcz złoty idzie śladem, deseń kobierca, rzucanego na ziemię, zmienia się w mgnieniu oka, wiatr chwyta liście, podrzuca je w górę, znowu na ziemię ciska i prowadzi je w tan wirowy. Gromadki dzieci biegną patrzeć, jak liście tańczą; patrzą też na nie z wysoka i sztywne świerki, zawsze opięte w zielone swe mundury.

Park rzadko kiedy pustym bywa; ale publiczność, tędy przechodząca, za mało zwykle miewa czasu i ochoty, aby się zachwycać jego pięknościami. Zielone lub czarne olbrzymy szumią sobie w górze, a ludzka troska idzie dołem, zawsze jednaka przez rok cały. Smutne figury chorych, z przewodnikami i bez przewodników, ciągną w godzinach przedpołudniowych różnemi alejami ku wielkim, żółtym budynkom, piętrzącym się wśród parku; ku nim też dąży zrana i po obiedzie młodzież z notatami i preparatami pod pachą, spiesząc na wykłady i do swoich chorych — bo żółte budynki to — kliniki.

Dziewiąta. Długi kurytarz, przecinający wzdłuż gmach kliniki chirurgicznej, szczególnie jest ożywiony. Ożywienie to jednak czysto szpitalne, pozbawione wszelkiego gwaru i hałasu. Liczne postacie w białych fartuchach, przebiegające go w rozmaitych kierunkach, stąpają cicho po miękkich gumowych matach; mnogie drzwi, prowadzące do sali operacyjnej, do gabinetu profesora, do pokojów chorych, otwierają się lekko, bez najmniejszego skrzypu; nawet filiżanki i spodki na tackach posługaczek, roznoszących śniadanie chorym, stoją jakby przyrosłe.

Szerokie ławy pod ścianami zajęte już są szczelnie przez pacjentów. Białe płachty na głowach, lub na rękach i nogach, drażnią wzrok jak brzydkie łaty na ciemnem tle zbitej pod ścianą ludzkiej masy. Niepokój oczekiwania, powstrzymywany jęk, obawa blizkiej już chwili decydującej, zawładnęły niepodzielnie tymi bladymi mężczyznami o spalonych wargach, temi skurczonemi kobietami o gasnących łzach w oczach. Teraz jednak nie płaczą one, starają się nie płakać; ściskają tylko wilgotne chustki w zimnej lub rozpalonej dłoni i wpatrują się uparcie w niepokalanie czyste ściany kurytarza, w wielkie czerwone szafy, jasne i ciemne kwa-

draty posadzki kamiennej. Apatja i znieczulenie świeżo przebytego paroksyzmu styka się tu bezpośrednio z zimnym dreszczem przerażenia i z gorączkowem tętnem rozszalego serca.

W gabinecie profesora czeka już także parę osób. Młoda, elegancka brunetka siedzi tam na fotelu, ostrożnie podtrzymując obwiązany paluszek.

— Więc decyduje się pani na przecięcie? — pytał ją młody asystent o energicznych ruchach i zręcznej figurze, widocznej nawet pomimo brzydkiego fartucha, okrywającego go całego.

— Jakto, nawet bez chloroformu? Wstyd mi doprawdy, ale brak mi odwagi, boję się naprzód bólu, a potem — waszej kliniki, tego tłumu chorych, znoszących tu z całego miasta swoje kokki, bakcyllusy i niewiem już wreszcie jakie tajemnicze stworzenia.

— Ależ pani, klinika nasza zbudowana jest i prowadzona według najnowszych wymagań nauki. W dzień i w nocy wre tu kolosalna walka. Cała armja posługaczy i posługaczek, uzbrojona w szczotki, gąbki, wodę, mydło, karbol i sublimat ściera się tu na wszystkich punktach pod naszym kierunkiem z owemi kokkami i bakcyllusami. Na tej lśniącej posadzce, na tych ścianach, pociągniętych białą farbą olejną, a codzień szorowanych, na naszych fartuchach tak często zmienianych, nie utrzyma się żaden zarazek... zresztą może pani zechce obejrzeć całe nasze urządzenie, mam jeszcze chwilę wolnego czasu.

— Za całe urządzenie dziękuję tymczasem, ale może mi pan pokaże owo sławne okno malowane...

— Ach, okno z ruiny kościelnej, owszem, służę pani; przynieśliśmy go z katedry do naszej sali ogólnej.

— Przecudne rzeczywiście — mówiła po chwili pani, wpatrując się w imponujące okno gotyckie, zalewające swem światłem różnobarwnem potężne sklepienia sali. — Układ ogólny postaci na obrazie Ary-Scheffera mi przypomina.

— Być może, nie widziałem, ale nasze malowanie o jakie lat trzysta chyba Ary-Scheffera wyprzedziło.

— Ciekawa też jestem w jakim celu przenieśliście go tu panowie, czy także wskutek najnowszych wymagań nauki? W zastępstwie może hypnotyzera jakiego?

— Złośliwa jesteś pani naprawdę. Więc nie przypuszcza w nas nawet pani artystycznych gustów? Zresztą stara katedra, stojąca na naszym gruncie, ostatecznie się już w gruz rozsypuje, naszym więc chyba obowiązkiem było zaopiekować się jej skarbem zapomnianym. Zresztą nasz profesor...

— Ach, właśnie ten profesor; nie może pan sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością go oczekuję; ciągle mi się zdaje, że on oszczędzi mi przecięcia i poda jakąś łagodniejszą radę.

— Wątpię bardzo — odrzekł asystent z lekkiem zniecierpliwieniem w głosie — w każdym razie teraz już muszę zostawić panią samą, gdyż idę obejrzyć chorych czekających na operację.

Pani skłoniła się lekko, podnosząc ku twarzy chusteczkę, nasiąkłą heljotropem. Karbol, panujący tu wszechwładnie, zbyt ją zaczynał już męczyć.

(Dokończenie nastąpi).

„La bête humaine".

przez Emila Zolę.

(Dokończenie).

Przez połamane rury i oderwane wentyle uchodziła z niej para z głuchym szumem, podobna była do charczącego olbrzyma, który pasował się ze śmiercią. Po nad nią unosił się biały dym gęstymi zwojami, podczas gdy z palowiska zaczęły dobywać się i mięszać z niemi czerwone i krwiste języki płomieni.

Wśród potężnego zderzenia, komin lokomotywy wbił się w ziemię, a koła sterczące w górę, czyniły *Lison* podobną do potwornego konia, który rażony ciosem śmiertelnym, ukazywał oczom przechodnia swoje wnętrzności. Z przeraźliwym hukiem uchodziła dusza z cielska *Lison'y*. Jakby dla ułatwienie porównania leżał obok koń, jeden z czterech z zaprzęgu wozu. Żył jeszcze, choć obie nogi przednie mu urwało, a jelita wyprute strugą czarnej krwi ociekały... W przedśmiertnych bolach i zapasach nieszczęsne zwierzę podniosło głowę swoją i ochrypłym głosem wydawało z siebie rżenie bezustanne, zagłuszane jednak przez grzmot dyszącej jeszcze *Lison'y*... Wszystkie te okrzyki i wrzaski dławiły się wzajemnie, niesłyszane, uleciałe, stracone dla ludzkiego ucha...

— Ratunku!... Dobijcie mię!... Straszne męki... dobijcie mię!... Zlitu cie się i dobijcie!...

W tym ogłuszającym zgiełku, wśród dymów wzrok oślepiających, otwierały się ze stukiem drzwi ocalonych wagonów i z bezładną paniką wyskakiwali podróżni na tor kolojowy. Padali na szyny, podnosili się, walczyli pomiędzy sobą pięściami i kolanami. Potem — czując już twardy grunt pod nogami, widząc szerokie pole przed oczyma, co sił starczyło, uciekali w dal, przesadzali płoty i rowy, jedynemu instynktowi posłuszni, aby jak najdalej uciec od widowni katastrofy. Z wyciem zwierząt dzikich, z włosami na obnażonych głowach, zburzonemi przestrachem i grozą, pędzili ku laskowi, gubiąc się w jego zielonem wnętrzu.

Potratowana boleśnie, z włosem rozczochranem i podartem w strzępy ubraniem, wydostała się wreszcie pani Severine z kłębów tumultu. Lecz ona jedna nie uciekała w dal. Przeciwnie, rzuciła się ostatkiem sił ku ryczącej maszynie, skoro spostrzegła obok niej palacza.

Jacques uratowany?... Nie prawdaż... Istnym cudem ocalony palacz stał tam, przymurowany do ziemi tą myślą straszną, że jego przełożony pan maszynista leży gdzieś ubity pod gruzami *Lison'y*. Tyle jazd, sztrapaców i burz przebyli oni razem! A ta maszyna, ta biedna poczciwa *Lison*, trzecia w ich przyjacielskim sojuszu, leżała oto na plecy powalona, wydając z rozdartego łona ostatnie tchnienie swoje...

— Zeskoczyłem był z maszyny... — wykrztuszał z siebie machinalnie, nie mam pojęcia, co się stało... piorunem bierzmy się do roboty!..

Przed domkiem budnika ujrzeli Florę, która stała na miejscu, jak wryta, zesztywniała wido-

kiem tych mordow, przez nią dokonanych. Dobrze, że to wszystko już przeminęło... czuła jakby ulgę na sercu, nie odczuwając natomiast ani krzty współczucia dla cierpień tego tłumu ludzi, którzy ginęli w tej chwili z jej ręki... Gdy atoli spostrzegła panią Severine żyjącą, szeroko rozwarła osłupiałe źrenice i wyraz strasznego bolu i zdumienia zaciemnił jej twarz białą, niby chusta. Co? ta kobieta żyła... a on, on zginął zapewne?... I w tym strasznym bolu swej skrytobójczo zamordowanej miłości, wśród pchnięcia żelaza zadanego sobie w samo serce własną ręką, odzyskała nagle świadomość przekleństwa zbrodni swojej... Ona to uczyniła — ona zamordowała go — ona zgubiła tyle niewinnych istot! Wielki, piekielny okrzyk wydarł się z jej gardła i z załamanemi rękami, jak wściekła biegała w okół.

— Jacques o mój Jacques!... On tam jest.. wyrzuciło go w tył... widziałam to...

Tymczasem lokomotywa charczała coraz słabiej, bardziej ochrypła już skargą, wśród czego znów coraz głośniej odzywały się jęki rannych. Tylko dymy ścieliły się jednakowo gęste po nad rumowiskiem olbrzymiem, z którego wydobywały się głosy mąk i trwogi śmiertelnej. Ponury ten obraz oświetlało pogodne, uśmiechnięte słońce... Co czynić teraz? do czego się brać przedewszystkiem? jakby dostać się do nieszczęsnych żyjących jeszcze?

Woźnica i budnik podnieśli już byli maszynistę, który w ostatniej chwili również zdołał zeskoczyć z pociągu. Uniknął śmierci, zaledwie wywichnąwszy sobie jedną nogę. Posadzili go na ziemi, pod płotem, skąd ogłuszony, niemy i na pozór bez czucia, przypatrywał się robotom ratunkowym.

Tymczasem Flora wołała, jakby obłąkana, raz po razu do woźnicy:

— Chodź... pomagaj mi... mówię ci, że Jacqes leży tam w dole!

Lecz woźnica nie słuchając jej, pobiegł tymczasem do innych rannych i właśnie co niósł jakąś młodą kobietę, której obie nogi zgruchotane wisiały ledwo na ścięgnach i skórze. Natomiast p. Severine pospieszyła na wołanie Flory. Ręce obu tych kobiet zetknęły się — wysilały się wspólnie nad podważeniem złamanego koła lokomotywy. Delikatne palce żony naczelnika nie wiele wskórały, silna natomiast ręka Flory wnet uprzątnęła przeszkody.

— Proszę uważać! — zakrzyknął palacz, który przyłączył się był do obu kobiet, szybkim ruchem ręki powstrzymując panią Severine. W tej bowiem chwili miała ona stąpić na ramię odcięte od tułowiu, tkwiące jeszcze w błękitnym jakimś rękawie. Z przerażeniem i wstrętem odskoczyła w tył. Nie poznała jednak, czyja to była ręka. Ciśnięto ją tutaj, należała zapewne do zwłok, które się później odnajdą... Drząca na całem ciele, stała nieszczęsna kobieta nieruchoma, jakby sparaliżowana od stóp do głowy. Łzy biegły z jej oczu nieprzerwanym strumieniem, patrzyła bezwiednie na tę bezowocną pracę i wysiłek ratujących, którym szczerby szkła kaleczyły ręce przy każdem dotknięciu się bezkształtnych ruin pociągu.

A ten ratunek konających i wydobywanie ranionych jeno, połączone było teraz ze zgrozą i niebezpieczeństwem, płomienie bowiem z maszyny chwyciły się były drewnianych szczątków i aby zdławić rychło pożar, należało łopatami ziemi zasypywać ogień coraz szerszy i potężniejszy. Po wysłaniu depeszy do Rouen i do najbliższej stacji pieszego gońca o pomoc, zabrano się teraz do uprzątnienia toru. Wszystkie zdrowe ramiona i ręce zawrzały pracą wytężoną i odważną, wielu bowiem zbiegów powróciło już, zawstydzonych swą pierwszą paniką i ucieczką. Atoli z niesłychaną jeno ostrożnością i powolnością można było w robotach postępować naprzód. Każdy kawałek należało ruszać z miejsca przezornie, aby nie spowodować zasypania i zgniecenia nieszczęsnych ofiar, być może żyjących teraz jeszcze pod gruzami...

Z jednego wagonu, który stał już w płomieniach, zdołano wyciągnąć całą rodzinę: ojciec i matka odnieśli dość lekkie tylko rany na nogach, babka miała ramię złamane. Lecz trójka ta nie czuła bolów, z łkaniem i jękiem wołając o pomoc dla trzyletniego swego dziecięcia. Kompletnie całe zdrowe i uśmiechnięte znaleziono je po chwili pod niedobitkiem wagonowego dachu. Z dziesięciu rannych, rozłożonych na gołej ziemi, tuż obok nieboszczyków, wiło się w boleściach bez pomocy lekarskiej. A to uprzątanie zaledwo się rozpoczęło było — pod każdym złomem znajdowano nową ofiarę, kupa gruzów formalnie rosła z każdą chwilą, kłębiąc się i ruszając kurczowo skutkiem tej rzeźni ludzkiej...

— Skoro wam mówię, że Jaques leży tam w dole... to wierzcie mi! — wołała Flora uporczywie raz porazu, jakby te krzyki sprawiały jej ulgę. — Wszakżeż on woła... słuchajcie tylko!

Tender leżał pokryty wagonami, które spiętrzywszy się na sobie, runęły potem na niego. I w samej rzeczy, w miarę, jak maszyna coraz słabiej charczała, coraz głośniej odzywał się jakiś głos męski z wnętrza gruzów. O ile też zbliżano się do tych przeraźliwych jęków agonji, one wzmagały się stopniowo, wreszcie przeszły w tak straszny wrzask boleści okrutnych, że sami robotnicy nie mogąc tego słuchać obojętnie, zaczęli płakać i krzyczeć. W końcu wydobyli nieszczęsnego, bez obu nóg, które pozostały przyciśnięte ciężarem wagonu. Lecz w tej chwili jęki jego zamarły — tułów już nie żył...

— Nie!... — wołałała Flora. — To nie on... jego szukajcie tam głębiej... on tam z pewnością...

I jakby stalowemi dłutami chwytała koła i ciężkie ułamki wagonów, odrywała dachy cynkowe, szamotała się z drzwiami, rwała grube łańcuchy. A ilekroć napotkała na nieboszczyka lub rannego, odwracała się i przywoływała ludzi, aby jej odbierali z rąk ten ciężar ludzki, gdyż ona ani sekundy nie mogła ustać w szalonem poszukiwaniu kochanka...

. . . .

Jacques'a znaleziono ledwo z lekka poranionego, a Flora zapłaciła za tę nieudałą zemstę swej miłości, życiem własnem... W tym samym tunelu rzuciła się pod koła najbliższego pociągu.
